Nr. 9. Lwów, 1. maja 1902. Rok XXV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ZŁOTE GODY

dozwolił Bóg obchodzić Członkowi Towarzystwa od samego początku jego istnienia,

KSIĘCIU ADAMOWI SAPIEŻE

i Jego najczcigodniejszej małżonce,

JADWIDZE z KSIĄŻĄT SANGUSZKÓW Ks. SAPIEŻYNIE.

Znakomitemu myśliwemu, pod którego kierownictwem odbywane łowy na grubego zwierza były poniekąd szkołą rycerską — i Księżnie, której działalność na polu dobroczynności i opieki nad opuszczonymi jest dobrze znaną, zasyłamy serdeczne

Szczęść Boże w długie lata!

ODEZWA.

Wydział Towarzystwa prosi usilnie wszystkich pp. Delegatów każdego powiatu, aby w myśl regulaminu raczyli w czasie jak najkrótszym porozumieć się ze sobą, celem odbycia posiedzenia, ukonstytuowania się, jako powiatowy organ Towarzystwa łowieckiego — i podzielenia powiatu na rejony łowieckie. Pomimo kilkakrotnie powtarzanych już próśb ze strony Wydziału Towarzystwa, nie nastąpiło w żadnym jeszcze powiecie ukonstytuowanie się grona naszych Delegatów — a tylko mała stosunkowo liczba pp. Delegatów, tworzących instytucyę, na której spoczywa przyszłość Towarzystwa i do której słusznie tyle przywiązywano nadziei, spełniła swoje zadanie. Z tego jednak, jakie dobroczynne skutki dla Towarzystwa przyniosło współdziałanie tych pp. Delegatów, którzy swoim obowiązkom odpowiedzieli, wnioskować można, ileby Towarzystwo dobrego dla łowiectwa zdziałać mogło, gdyby wszyscy pp. Delegaci raczyli podobnie pojąć swoje zadanie. Rozwój Towarzystwa taki, jaki jest, zawdzięczać należy współdziałaniu pp. Delegatów — o ile mógłby być większym. gdyby wszyscy pp. Delegaci tak gorliwie pracowali, jak niektórzy z nich, nad tym rozwojem.

Zwracamy uwagę pp. Delegatów, że zbliża się czas, w którym bardzo poważne sprawom łowiectwa krajowego zagrażać może niebezpieczeństwo. Wniosek zmiany ustawy łowieckiej, przedłożony przez stronnictwo ludowe, o którym już w poprzednich dwóch numerach „*Łowca*“ pisaliśmy, może bardzo łatwo przyjść pod obrady Wysokiego Sejmu, tem więcej, że i z innych stron Izby nie braknie ochoty do przetrutynowania przepisów obecnej ustawy, która w wielu swoich ustępach nie odpowiada zadaniu. Może więc przyjść do gorących zapasów, ustawa łowiecka bowiem, jak wiadomo, zawsze bywa przedmiotem namiętnych rozpraw — będzie więc bardzo ważną rzeczą, aby przedtem, zanim Sejm nad nią dyskusyę otworzy, dyskusya ta była wyczerpująco przez koła łowieckie przeprowadzoną i aby zawodowe sfery opinię swoją wydały — ułatwiając tem samem sprawiedliwe załatwienie tej sprawy w Sejmie, który niewątpliwie z chęcią obu stron wysłucha i wszelkie słuszne wymagania uwzględni.

Apelujemy zatem ponownie do Szanownych pp. Delegatów z prośbą, aby w tym właśnie czasie, kiedy potrzeba imponującego wystąpienia, zorganizowali po powiatach Koła Towarzystwa łowieckiego, celem przygotowania akcyi za zmianą ustawy łowieckiej w tym duchu, żeby ona przyczyniła się do rozwoju tej części gospodarstwa krajowego, a nie była narzędziem zupełnego jej upadku.



Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Barącz E.
2. Dr. Bohosiewicz Teodor.
3. Domrazek Stefan.
4. Douillet Modest.
5. Dyszkiewicz Stanisław.
6. Galiński Michał.
7. Graff Stanisław.
8. Gromnicki Jan.
9. Hoffman Jan.
10. Jarosz Antoni.
11. Kobylański Stanisław.
12. Kownacki Juliusz.
13. Markowski Ludwik.
14. Mierzeński Włodzimierz.
15. Piórkowski Tadeusz.
16. Tabeau Mieczysław.
17. Wasung Jan.
18. Wierzbicki Marcin.

W myśl uchwały Wydziału z d. 4 kwietnia 1902 wymienimy w następnych numerach tych pp. członków, którzy wkładki za rok przeszły, a nawet za dwa i trzy lata poprzednie nie uiścili, jako występujących. Spodziewamy się, że spis ten będzie bardzo nieliczny.

Sprawa zmiany ustawy łowieckiej w Sejmie.

Dokończenie.

Już z zestawienia postanowień dawnej ustawy i projektowanych przez wnioskodawcę przepisów, mogli sobie czytelnicy nasi wyrobić pojęcie, jak wielkiej wagi są proponowane przez p. Żardeckiego zmiany.

Przedstawiają się one po kolei jak następuje:

1) Przez postanowienie, iż samodzielne prawo polowania służy każdemu posiadaczowi ogrodu bez względu na przestrzeń, chce wnioskodawca dać strzelbę w rękę każdemu osiadłemu włościaninowi, który posiadając takie samodzielne prawo polowania, ma zupełne prawo żądania karty na broń. Odmówić takiej karty nikt mu nie może, chyba w tych rzadkich wypadkach, w którychby zachodziła subjektywna przyczyna. Kto wie, ile zniszczenia w zwierzynie sprawia kilka strzelb, ukrywanych w gminie, łatwo sobie wyobrazi, coby się działo, gdyby w każdej wsi było co najmniej kilkadziesiąt strzelb, któreby się całkiem prawnie znajdowały w rękach swoich właścicieli z tego powodu, że mają np. 100 metrów kwadratowych zamkniętego płotem ogrodu.

2) §. 4 zezwalał na pewien wpływ przy wydzierżawianiu gminnego prawa polowania obszarowi dworskiemu, jeżeli okręg tego polowania obejmuje także grunta obszaru dworskiego. W takim wypadku i reprezentacya gminy i reprezentacya obszaru dworskiego miały prawa stawiać samoistne wnioski — według nowego projektu równość ta wobec prawa ma być zniesiona i obszar dworski traci prawo stanowienia o swoim losie — ciężar ten weźmie na siebie reprezentacya gminy.

3) Według obecnej ustawy możliwem było ze względu na kulturę łowiecką, a mianowicie w przypuszczeniu, że właściciel większej posiadłości stara się więcej o utrzymanie zwierzostanu na odpowiednim stopniu rozwoju, niż może to czynić właściciel drobnej posiadłości, przydzielenie, oczywiście zą opłatą, pewnych mniejszych parcel do większych samoistnych okręgów polowania. W całym szeregu poprawek stara się wnioskodawca uniemożliwić podobne ułatwienie opieki nad rozwojem zwierzyny.

4) Wnioskodawca pragnie, aby licytacyę na dzierżawę prawa polowania zarządzała zwierzchność gminna, nie jak dotychczas w zasadzie władza powiatowa, a na podstawie jej pełnomocnictwa zwierzchność gminna.

5) Od strażnika łowieckiego nie żąda wnioskodawca wykazania się odpowiedniemi kwalifikacyami.

6) Opinia Towarzystwa łowieckiego co do potrzeby wyjątkowego okresu ochrony, której żąda §. 35 obecnej ustawy, jest, zdaniem wnioskodwcy, zupełnie zbyteczną.

7) Jest nią tem więcej, że wnioskodawca nie pragnie nawet chronić zwierzyny przed wyniszczeniem, bo wyklucza zupełnie możliwość czasowego zamknięcia polowania w pewnym okręgu, celem ochrony zagrożonej zupełnem wyniszczeniem zwierzyny.

8) Certyfikaty pochodzenia zwierzyny, powściągające handel nieprawnie nabytą zwierzyną, miały za zadanie powściągać kłusownictwo przez utrudnienie jej zbytu. Wnioskodawca pozwala już wprawdzie takim zastępom na prawne wykonywanie polowania, ale widocznie i tego za mało, bo znosi ten obowiązek wykazywania się certyfikatami, kłusownicy będą więc mogli bez trudności znaleźć nabywcę na ubitą przez siebie zwierzynę na cudzym gruncie.

9) Aby jednak zabawę myśliwską uczynić jeszcze więcej powszechną, pozostawia wnioskodawca nienaruszony §. 47 obecnej ustawy, który mówi o certyfikatach na broń dla tępienia dzików, a ponieważ nie ma tam mowy o właścicielu gruntu uszkodzonego, bo to się w obecnej ustawie samo przez się rozumie, więc na podstawie nowego projektu mógłby każdy, nawet nieinteresowany, mieć prawo żądania pozwolenia noszenia broni celem tępienia dzików.

10) Psy i koty włóczące się mają w projekcie zapewnioną opiekę w odległości 500 metrów — 300 metrów było mało.

11) Każdy właściciel gruntu, oprócz tego, że mu będzie wolno wykonywać samoistnie prawo polowania na swojem ogrodzie, że sobie może rozszerzyć to prawo na cały grunt przez wyrobienie sobie np. certyfikatu na tępienie dzików, albo pod pozorem, że ma zamiar tępić „zwierzęta uznane za szkodliwe“, ma prawo jeszcze urządzać na swoim gruncie żelazka, łapki i przyrządy samochwytne na zwierzęta szkodliwe. Za to wszystko wspaniałomyślnie dozwala projekt, w niebardzo szczęśliwej stylizacyi, aby przyznanie samodzielnego prawa polowania w ogrodzie uważane było za „zrzeczenie się“ wynagrodzenia szkód.

12) Przy dochodzeniach o wynagrodzenia szkód przez zwierzynę zdziałanych, mają funkcyonować nie znawcy przez władzę powiatową przybrani, lecz detaksatorowie gminni przez tę władzę ustanowieni. Cały szereg zmian w tym dziale ma za zadanie zapewnić odpowiednie według wnioskodawcy wynagrodzenie szkód.

13) W przepisach o karaniu przekroczeń traktuje projekt bardzo lekko, takie np. przekroczenie, jak nieuwzględnianie czasu ochronnego dla zwierzyny.

14) Karty łowieckie znosi projekt całkowicie.

Oto wiązanka zasadniczych zmian ustawy łowieckiej projektowanych przez stronnictwo ludowe.

Rozumielibyśmy zupełnie stanowisko wnioskodawców, gdyby żądali np. jakichś zmian co do wynagradzania szkód, zdziałanych przez zwierzynę, ofiarując równocześnie posiadaczom prawa polowania większą ochronę ich praw przeciwko nieuprawnionym do polowania — byłoby to przynajmniej usprawiedliwionem i sądzimy, że każdy właściciel polowania, widząc się zabezpieczonym przed kłusownictwem, znajdując większą opiekę władz nad swojemi prawami, z chęcią zgodziły się na opłacanie nawet znacznych wynagrodzeń, bo w każdym razie czułby, że własność jego jest strzeżoną i że czyniąc wkłady, czy to dla własnej korzyści, czy też dla własnej przyjemności, nie jest narażonym na bezprawne zniszczenie tego, co z wielkim trudem i z wielkimi często nakładami udało mu się zbudować. Dążyć jednak do tego, aby wbrew wszelkim najbardziej nowożytnym pojęciom, zrujnować zupełnie jednę gałęź gospodarstwa krajowego, bez korzyści dla nikogo, a ze szkodą dla społeczeństwa, to chyba pozostanie rzeczą niezrozumiałą.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze — dziś stwierdzamy tylko, że fakt wniesienia tego projektu do Sejmu, ma także dobrą stronę.

Dotychczas wszystkie koła myśliwych, którzy poza swoim interesem osobistym widzą coś więcej, a przedewszystkiem interes kraju, wstrzymywały się do pewnego stopnia z wprowadzeniem ustawy łowieckiej przed forum Sejmu — pomimo, że braki ustawy były bardzo widoczne i dobrzeby było dla łowiectwa krajowego, gdyby były mogły być wcześnie usunięte. Ale gdy przedstawiono braci myśliwskiej, dzięki Bogu dosyć w naszym kraju karnej i obywatelskim duchem przejętej, że zajmowanie Sejmu ustawą łowiecką, mogłoby inne ważne sprawy krajowe narazić na spadnięcie z porządku dziennego, to brać ta, choć czuła, że jej się dzieje krzywda, godziła się z tym swoim losem, ze względu na interes publiczny. Dowodem nasze tyloletnie starania o zmianę §. 41. i o przeznaczenie pewnej choćby części funduszu, uzyskanego z opłat za karty łowieckie, na cele łowieckie. Teraz jednak, skoro ustawa to stanie się przedmiotem obrad Sejmu z powodu obecnego wniosku, nie możemy sobie nic wyrzucać. Owszem, rzuconą rękawicę podjąć należy i skorzystać z tego faktu, aby ustawę łowiecką odpowiednio ulepszyć.

Braki ustawy były tylokrotnie w „*Łowcu*“ omawiane, w sprawie stworzenia bardzo pożytecznych organów powiatowych dla przestrzegania interesu tej gałęzi gospodarstwa krajowego przestawił konkretne wnioski p. K. Strzemię w swoich doskonałych artykułach z r. 1900, przystąpmy zatem także do zredagowania ustawy słusznej i pożytecznej, postarajmy się o wniesienie jej do Wysokiego Sejmu i użyjmy wszelkich sił, aby nasze najwyższe ciało ustawodawcze przekonać, iż interes kraju na tem polega, żeby zwierzyna miała należytą ochronę, a nie żeby była poświęcona na zagładę.

Do tego jednak potrzeba jak najliczniejszego i jak najsolidarniejszego naszego wystąpienia. Dla tego prosimy o uwzględnienie naszej odezwy, umieszczonej na wstępie, dla tego już dziś zwracamy uwagę Szanownych Członków Towarzystwa, że zjazd nasz musi być w tym roku imponujący!



Kukułeczka zakukała.

Już w dąbrowie kukułeczka wreszcie zakukała,
Srebrny pancerz w czarną łuskę na gody przywdziała.
Czy na polu, czy to w lesie, czy na miejskim bruku
Zawsze słyszy się z rozkoszą twoje: „Kuku! Kuku!“
Bo o tobie chodzi gadka, tu w naszym narodzie,
Żeś najlepszą jest wróżbitką w całym ptasim rodzie.
Więc twój śpiew z nas każdy chętnie zaraz uchem [chwyta
I w przeróżnych swoich sprawach o wróżbę się pyta.
A niemylne twoje wróżby ten najdrożej ceni,
Komu bardzo ciężko w sercu — a lekko w kieszeni.
Lecz ostrożną bądź wróżbitko! Niechęć też się budzi:
Nie uwierzysz jak to łatwo zrazić sobie ludzi! —
My — na każdym kroku tego widzimy przykłady,
By się ludziom nie narazić... słuchaj dobrej rady:
Gdy zapyta się kawaler, który trwa w zamiarze,
Ogniem wkrótce już podpalić Hymenu ołtarze,
Ile dotąd serc ustrzelił z Kupidyna łuku?
Kilka razy mu koniecznie masz zakukać: „kuku!“
Lecz gdy spyta, ile luba posagu dostanie?
Wtedy kukaj kukułeczko, ile sił ci stanie!
Młoda panna, gdy znów spyta, (co często się zdarza),
Ile lat ją jeszcze teraz dzieli od ołtarza,
By się wreszcie w ślubny wieniec czoło przystroiło?
Ty milcz wtedy kukułeczko! jakby cię nie było.
Ta panienka wnet zrozumie z twojego wyroku,
Że na ołtarz i wianuszek nie trza czekać roku.
Gdy zapyta cię myśliwy, co mu przyszłość kryje?
Ile w roku w polach, kniejach, zwierzyny zabije?
Ile z broni jego legnie jeleni i dzików?
Rogaczy, kuropatw, lisów, dubeltów i kszyków,
Wtedy głosu ty nie żałuj — kukułeczko droga!
Bo byś sobie z wielbiciela mogła zrobić wroga.
Lecz jeżeli cię zapyta ile tam spudłuje?
(Bo i tę ewentualność łowiec przewiduje),
Radzę ci... (bo swoich pudeł strzelec nie pamięta)
Byś zawzięcie znów milczała — jak gdyby zaklęta.

Tak o wróżby twej sprawdzenie, daremna obawa,
Ludzie wierzyć tobie będą — wzrośnie twoja sława.
Gdy inaczej wróżyć będziesz — — rzecz to dowie- [dziona —
Bałamutką cię ogłoszą — i jesteś zgubiona!
Ot — i teraz na cię ludzie czasem jadem dyszą:
Zwłaszcza te ornitologi, co twe dzieją piszą.
Wciąż oszczerstwa jakieś sieją! żeś ptaków zagadką,
Straszny zarzut tobie czynią, żeś niedobrą matką.
Że wróżbiarstwo twego życia li celem się stało,
Że twych dzieci edukacyą trudnisz się za mało.
Bóg wie jeszcze, jakie inne w świecie sieją plotki:
Że bonami twoich dzieci są pliszki, czeczotki:
A cóż czynią nasze Panie?... piękne elegantki?
Wszak ich dzieci wychowują także guwernantki,
I Francuski i Szwajcarki, Niemki i Angielki,
Bo w tych dzieci opiekunkach mają wybór wielki.
Z tej języków mieszaniny wynik bywa taki,
Że z pod skrzydeł opiekunek lecą w świad cudaki.
Wielką wyższość masz, kukułko, nad temi paniami:
Wszak twe dzieci pozostają przecież kukułkami.

Mówią, że kto pierwsze z wiosną twe słyszy kukanie,
Gdy zadzwoni pełną kieską — bogaczem się stanie.

Oj! kukułko! niech w tym roku twój śpiew się
[powstrzyma!
Bo tu u nas pełnej kieski — nikt w kieszeni nie ma.
Choćbyś nie wiem jak kukała... pustki u nas w dłoni...
Nikt z pewnością ci w Galicyi kieską nie zadzwoni:
U nas, już to wszyscy wiemy, objaw to nie nowy:
Tu zadzwonić mógłby chyba... urząd podatkowy.

Leopold hr. Starzeński.



O prochu bezdymnym, stosownej broni i łuskach.

Z przykrem zdziwieniem dowiedziałem się z artykułu „*Nowego Słowa Polskiego*", skierowanego przeciw Redakcyi „*Łowca*", że moje artykuły o broni są „z interesami narodu" sprzeczne i t. d. Cenię wysoce patryotyczny zapał p. Dziubińskiego i wierzę, że w tym wypadku tylko gorliwość jego spowodowała go do wystąpienia przeciwko pracy, podjętej z najlepszemi chęciami służenia ogółowi naszych myśliwych. Otóż ja nie miałem wcale zamiaru apoteozować Niemców, lecz chciałem dać obraz postępu na polu fabrykacyi broni łowieckiej. Chcąc jednak dać obraz postępu musiałem szczegóły brać stamtąd, gdzie je znaleść można. Niestety każdy bezstronny obserwator musi przyznać, że Niemcy nietylko idą z postępem, ale w tej gałęzi przemysłu, na jego czele. Nie mogłem pisać przecież o wynalazkach polskich na tem polu, gdyż o takich niestety nic nie słychać, a gdyby nawet były, nie należałoby się na nich samych ograniczać, gdyż wszelkie zasklepianie się w sobie wyklucza postęp.

Znawstwo broni i amunicyi należy dziś do warunków niezbędnych dla każdego inteligentnego myśliwego, to też sądziłem, że postępuję dobrze, przyczyniając się do spopularyzowania zdobyczy postępu. Nie jestem politykiem, jednak śmiałbym mniemać, że można Niemców nielubieć, ale należy od nich się uczyć i starać się im dorównać, lub o ile możności prześcignąć. A tego nikt nie dokona, zasklepiwszy się w sobie. Nie namawiałem nikogo, by broń z Niemiec sprowadzał, owszem mocno jestem przekonany, że broń sporządzona przez naszych rusznikarzy daleko jest solidniejszą od fabrycznych wyrobów niemieckich.

Zbliża się nowy sezon myśliwski i zapewne wielu myśliwych zakupi nową broń i zechce przystąpić do używania prochu bezdymnego, sądzę zatem, że artykuł dzisiejszy będzie na czasie.

Właściwości prochu bezdymnego są wogóle mało znane, a nieraz spotykałem się z takiem zdaniem u myśliwych, że mi się aż zimno robiło. Rzeczywiście cud Boży, że ci ludzie jeszcze zdrowo po świecie chodzili. Otóż spotykając u myśliwych często dowody zupełnej nieświadomości pod względem właściwości i siły prochu bezdymnego, postanowiłem znane mi daty podać w łamach „*Łowca*" do szerszej wiadomości, by w tej drodze zapobiec chociażby częściowo nieszczęśliwym wypadkom, mnożącym się w ostatnich czasach zastraszająco. Nie chcę atoli nikogo zrażać do świadomego i umiejętnego używania tego prochu.

Nie da się zaprzeczyć, że proch bezdymny wielkie posiada zalety, jako to: widne pole po strzale, większą chyżość początkową, znacznie mniejsze trącanie i wreszcie słabszy huk. Ja jestem stanowczym zwolennikiem prochu bezdymnego, ale z pewnemi zastrzeżeniami. Przedewszystkiem używałem naboi słabych, (2 gr. z odpowiednio zmiejszonym ładunkiem śrótu 28 gr.), a te na ptactwo znakomite oddawały mi usługi. Gdy przedtem po strzale na błotach musiałem często przysiadać lub w bok odskakiwać, by przez dym zobaczyć, czy ptak leży, z nabojami bezdymnymi miałem widne pole strzału i w razie chybienia, mogłem poprawiać, kiedy ptak jeszcze za daleko nie odleciał. Późną jesienią porobiłem naboje silniejsze (2·5 gr.) i tu się zaczyna odwrotna strona medalu. Kilku pierwszymi strzałami byłem zachwycony, aż raptem, głos strzału wydaje mi się podejrzany i kopnięcie niespodziewane, że już myślałem: już po strzelbie! lecz Bogu dzięki, tak źle jeszcze nie było, tylko zamek się zaciął i później znów prawidłowo funkcyonował. Silne ładunki zarzuciłem i więcej ich używać nie będę, aż nasz proch bezdymny dorówna innym. Właśnie co opisane objawy są zwykle zapowiedzią katastrofy.

Kwestya prochu bezdymnego stanowczo nie jest rozwiązaną i wiele pierwszorzędnych fabryk prześciga się w wysiłkach usunięcia dotychczasowych braków, głównie silnego rdzewienia*) i nierówności w działaniu. Każdy z tych prochów ma swe specyalne własności i kto ich nie zna, a chce tych prochów używać, naraża siebie i broń swoją. Gdy naprzykład jeden gatunek prochu wymaga nadzwyczaj intenzywnego zapalenia, drugi przy takiem samem zapaleniu wydaje tak wysokie ciśnienie, że zagraża najlepiej zbudowanym strzelbom. Z wielu stron ostrzegają przed używaniem twardych przybitek a zalecają natomiast elastyczne. Również nie należy przybitek nadto przyciskać a proch ważyć a nie mierzyć.

Zdaje się, że Mülleryt najbardziej jest wolny od mankamentów tu wspomnianych, a po nim angielski „Schultze" daje najwięcej gwarancyi — z niemieckich prochów żaden jeszcze nie wyrobił sobie dominującego stanowiska, a katastrofy często się tam trafiają — o naszym zaś austryackim stanowczo nie wiele korzystnego powiedzieć można. Jak już wyżej wspomniałem używać go można na ptactwo w słabszych ładunkach. **)

Niejaki p. Ornis, (prawdopodobnie pseudonim), pisze o strzałach prochem bezdymnym co następuje:

---

*) Rdzewienie już wielu fabrykantów usunęło.

**) Kto ma broń pierwszorzędną zwłaszcza z lufami Kruppa, Wittener, lub Cockerill i poczwórnem zamknięciem bez błędów, które wyliczę mówiąc o broni, może bez obawy używać oryginalnych artykułów i ładunków Wöllersdorfskich. Mowa tu o prochu do strzału śrótowego. Do kul mamy już dawno doskonały proch bezdymny.

„Z miejsca muszę zaznaczyć, że rozmaite gatunki prochu z rozmaitych strzelb, różne dają wyniki. Ja sam zrobiłem przy moich pięciu strzelbach rozmaite doświadczenia. Jedna biła Plastomenitem znakomicie, druga prochem Schultze, inna znów Spiralitem i twardośrótem Nr. 9. i t. d.“. Rozumie się, że do takich doświadczeń należy mieć wiele cierpliwości, polowanie, dające częstą sposobność do strzału i notabene odpowiednią ilość zasobów. A więc ostrożnie z bezdymnym!“

Jeszcze o jednej okoliczności wspomnieć muszę. Jeżeli się nie kupuje naboi gotowych, należy się od fabrykanta dokładnie dowiedzieć o stosunku ładunków prochu i śrótu, gdyż użycie za wielkiego ładunku śrótu zwiększa naprężenie gazów i przyczyniło się już nieraz do pęknięcia broni.

Teraz o broni:

Oto co pisze o tem p. Preuss: „Przy starszych strzelbach należy wziąć pod rozwagę zmiany molekularne, zaszłe w materyale wskutek długiego używania. Materyał luf musi być oporny, co się osiąga tak przy stalowych, iak i dziwirowych lufach przez hartowanie. Proces hartowania sprowadza ściślejsze połączenie i różne warstwowe ułożenie się molekułów, co stanowi właściwy hart. Jakkolwiek to wymagane ułożenie się warstw, przez fizykalne wpływy chwilowo osiągniętem zostało, to nie jest ono stałem i zmienia się z biegiem czasu, a zwłaszcza wskutek wstrząśnień, które potegują ruch w warstwach molekularnych. Im mniej dokładnem było połączenie molekułów, a więc im gorszy materyał, tem łatwiej spowodowują wpływy mechaniczne rozluźnienie się spójni molekulowej. Stal nie zostanie wiecznie stalą, a tembardziej dziwir dziwirem.*)

Szyny stalowe stają się z biegiem lat, wskutek wstrząśnień, napowrót żelazem. Zmiana idzie tak daleko, że połączony z żelazem węglan, „*Kohlenstoff*,“ z połączenia się uwalnia i napowrót powstaje żelazo. Robiąc wzmiankę o tym objawie, nie chciałbym znów, by jego znaczenie przesadzano, gdyż dobre lufy wytrzymują 50000 do 80000 strzałów, zanim wyżej wymienione zmiany zauważyć się dadzą.

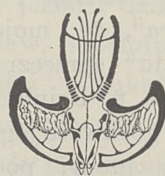
Otóż najlepsza wskazówka co do materyału. Co się tyczy konstrukcyi, to należałoby używać strzelb o ile możności z poczwórnem zamknięciem. Nadto należy uważać, by długość komory nabojowej dokładnie odpowiadała długości łusek i nie miała ostrobrzeżnego przejścia do lufy, lecz żeby stożkowo, powoli się zwężając do luf przechodziła. Wielu uważa ostrobrzeżne zakończenie komory nabojowej za częstą przyczyną pęknięcia broni. Nawet przy używaniu czarnego prochu dają strzelby z powyżej wymienionymi błędami, silny huk, szarpią znacznie i mocno rozrzucają, przyczem się zwykle mówi, że owa strzelba nie znosi silnych ładunków.

Co się tyczy łusek, to można przedewszystkiem powiedzieć, że jest ich tyle rodzajów, iż biorąc po jednej z każdego gatunku i kalibru, otrzymalibyśmy muzeum z wieloma tysiącami okazów. Konkurencya, dążenie do doskonałości i chęć senzacyi, wytworzyły na tem polu ruch wprost chorobliwy. Przy tem zdarzają się łuski tak złe, z tak lichą czapką mosiężną i kartonem, że przy użyciu tychże najlepszy zamek nie może odpowiedzieć swemu zadaniu. Takie łuski powinny być urzędowo zakazane, jako zagrażające życiu i zdrowiu. W innych zaś staranność posuniętą jest do przesady i powoduje niepotrzebnie wysoką cenę. Wielu specyalistów uważa wewnętrzną powłokę metalową za zbyteczną a nawet szkodliwą. Wskutek wilgoci tworzy się śniedź, zwłaszcza, jeżeli naboje długo leżą, (kto używa t. z. blitzpatronów musiał tego doświadczyć) i sprowadza zwężenie wewnętrzne i częste zawodzenie naboi. Wewnętrzna powłoka metalowa spowodowuje nadto zwężenie i wydłużenie słupka prochowego, co się przyczynia do powolniejszego spalania się tegoż a więc do zmniejszenia energii strzału. Szczególnie wysokie powłoki wewnętrzne mają jeszcze jedną wadę. Otóż sięgając wysoko, przyjmują w siebie nietylko proch ale też przybitkę, lub znaczną część tejże i zmniejszają kaliber przybitki, co się stanowczo do dobroci strzału nie przyczynia.

Najodpowiedniejszymi wydają mi się łuski z zewnętrzną, silną powłoką mosiężną, wysokości 10—15 mm i z silnym, nieprzemakalnym kartonem.

M. R.

*) Dziwir zawiera w sobie częściowo żelazo, jak to już opisałem w jednym z poprzednich artykułów.



NA CIĄGU!

Ileż to już razy opiewano wiosnę a jednak pieśń o niej pozostanie zawsze nową, zawsze świeżą a przyjście jej budzi radość i nadzieję nawet w sercach zgorzkniałych pesymistów.

I znów wiosna idzie! Przed nią wiatr ciepły leci, lody pękają, śniegi topnieją, pola czernieją, zielona ruń coraz dalej na północ biegnie i raduje stęsknione oko. Ona zaś od południa kroczy a kędy stąpi, białe śnieżki i wonne fiołki ślady jej znaczą, drzewa i krzewy w pączki strojne gałązki do niej wyciągają a chóry ptasząt witają ją radośną pieśnią wiosenną i rozpoczynają gody weselne.

Już głuszec pieśń miłości nucić rozpoczyna, wtóruje mu w tem cietrzew i drobniejsza ptaszyna czupurnie cholewki smalić zaczyna.

Nadszedł już czas dla myśliwego, by znów wziąć do ręki niezawodną broń i pospieszyć na słodkie trudy i znoje zawodu myśliwskiego.

Nie każdy z myśliwych jest tak szczęśliwym, by mógł podążyć na gody weselne głuszca lub cietrzewia, ale wielu ma możność wybrać się na niemniej uroczy ciąg słonki.

Już pliszki przyleciały! To dla myśliwego znak niezawodny, że słonki nadlecą. Jakiś niepokój myśliwym owłada, bierze strzelbę do ręki, ogląda, odczyszcza a wierny Karo, czy Nero, żdziwionym i niedowierzającym wzrokiem czynność naszą śledzi, wreszcie wyciąga się na legowisku, wstaje i poczyna się łasić, gdyż i on

się cieszy, że czas nań przychodzi i on współczuje z myśliwym. Strzelba i ładunki gotowe; czekamy tylko pierwszej wieści o miłych gościach. Już są!

Promienie słońca zachodzącego leją strugi blado złote na soczyste oziminy i pęczkujące lasy a ciepły wietrzyk roznosi świeży zapach ziemi. Do lasu zbliża się lekki wózek, zaprzężony w dzielne kasztany. Przed wózkiem dwa wyżły w podskokach ze sobą igrają i wesoło naszczekują.

Wózek podskakuje i przechyla się na wyboistej drodze, ale to wcale nie psuje humoru kilku myśliwym, na nim jadącym; przeciwnie! każdą karkołomną ewolucyę wózka przyjmują wesołymi okrzykami i dowcipami. Humory przepyszne, gdyż hasłem ich: „na słonki!"

Dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia; wysiadamy i gromadką udajemy się na stanowiska, dość oddalone; po drodze horoskopy na dzisiejszy ciąg, wspomnienia i anegdoty z dawnych ciągów — wreszcie jesteśmy na miejscu. Rozstawiono nas wzdłuż linii w młodym, mieszanym drzewostanie.

Wybrałem sobie miejsce, z którego mam świetny przegląd w koło i usiadłem na krzesełku, przy małej jodełce. Pies przy nodze. Czasu mam dość, więc położyłem strzelbę, gotową do strzału na kolanach i oddałem się czarowi wiosennego wieczoru.

W koło mnie cisza... Żaden głos ludzki, ni też bliskość ludzi zwiastujący, nie mąci harmonijnego głosu lasu. Wnet zaczyna się ożywiać. Ptactwo żegna zachodzące słońce pieśnią wieczorną a coraz więcej głosów chór uzupełnia.

W bliskiej gęstwinie jodłowej drozdy biją, kos biega i fruwa w koło mnie poświstując i śmiejąc się, a stadka zięb, czyżyków i sikorek wtórują mu melodyjnie. Od czasu do czasu, ciągnąca na nocleg do lasu wrona, niemiłem krakaniem harmonię zakłuca, lub żuk głośno hucząc, zapada niezgrabnie w trawę. Zaczyna się ściemniać. Z daleka płyną dźwięki dzwonów na Anioł Pański i w duszy też coś śpiewa, dusza się modli, dostrojona harmonijnie do natury. Lecz cóż to? Jakieś chrapliwe naszczekiwanie budzi mię z nastroju. To lis daje wyraz swemu oburzeniu, że ktoś mu w wycieczce śmie przeszkadzać. Śledzę za nim, ale ten przebiegły szelma nie myśli narażać swej skóry i zdala krąży.

Gdy tak za lisem śledzę, pada strzał na stanowisku sąsiada z prawej i widzę jak słonka zataczając łuk, pada i pies ją przynosi.

Ręka silniej obejmuje strzelbę, wytężam słuch i wzrok i z upragnieniem oczekuję mojej kolejki. „Pswit" — rzucam wzrok na lewo, ledwie zdołałem się złożyć — paf! i Neruś z uśmiechniętą miną podaje mi ptaka. Światło jeszcze dobre, jeszcze kurołap zatacza szerokie koła a w pobliskiej olszynie dzięcioł się odzywa. Wtem! „chru", „chru" i ciężko, wolniutko sowim lotem nadciąga słonka. Niestety daleko! już mnie mija i kiedy ją za straconą uważam, zmienia kierunek i ciągnie przedemną na połeć na 30 najdalej kroków. Błyska strzał i słonka, sypiąc pierzem, ciężko o ziemię uderza. Wspaniała, oblana, t. z. sówka.

Ściemniło się. „Hop!" „hop!" schodzą się towarzysze. Doskonały rezultat: 5 słonek na trzy strzelby, więc w doskonałych humorach wracamy, ale pieszo, gdyż wózkiem w ciemności byłoby niebezpiecznie. Dobry wynik ciągu nie pozwala nam się nawet zastanowić nad niewygodnym powrotem. Wyszedłszy z lasu musieliśmy przejść około tysiąc kroków polami i tu zachwycało uszy nasze bardzo częste wabienie kuropatw, stąd miłe nadzieje na jesień.

Tyle o ciągu! Teraz zamierzam do innego przystąpić tematu.

Już kilkakrotnie odzywały się w łamach „*Łowca*" głosy, zachęcające do przysporzenia naszej literaturze łowieckiej dzieł nowych. Nie wiem, czy ktokolwiek wziął to do serca, ale ja chciałbym się wedle możności przyczynić do pracy w tym kierunku. Otóż, będąc sam jeszcze za młodym myśliwym, nie rozporządzam taką sumą doświadczenia, któraby mnie uprawniła do podjęcia pracy samodzielnej, ale postanowiłem zebrać szereg zagadnień o słonce i podać do ogólnej wiadomości w łamach „*Łowca*" w tym celu, by doświadczeni myśliwi w „*Łowcu*" o pojedynczych zagadnieniach tych sąd swój wydali, a w ten sposób utworzyłby się cenny materyał dla każdego, ktoby chciał pisać o słonce.

1) W jednem z pism łowieckich anonimowy obserwator tak opisuje sposób żerowania słonki: Słonka dzióbem odwraca liść, by z pod niego wydobyć robaki a znalazłszy otwór nory robaczej wtyka weń dziób aż po dziurki nosowe i tupie nóżkami o ziemię, płosząc w ten sposób robactwo i zmuszając do wyjścia z nory. Słonki w klatkach trzymane siedzą zazwyczaj apatycznie w ciemnym kącie, lecz od czasu do czasu zaczynają tupać nóżkami, jakby chciały co stratować.

2) Niektórzy twierdzą, że słonka pomaga sobie wiatrem (węchem) w wyszukiwaniu żeru.

W jednej z francuskich ptaszarń przynoszono dla słonek kawały darni, gęsto dżdżownicami napełnione. Jakkolwiek dżdżownice się pochowały, to jednak słonki je nieomylnie znajdywały, a wyciągnąwszy podnosiły w dzióbie, wyciągały szyje pionowo, poczem robaki stopniowo znikały, chociaż słonki nie robiły najmniejszego poruszenia, właściwego łykaniu. Proceder ten ma być skutkiem specyalnej budowy dzióba.

3) Wiadomo, że w miarę jak śnieg i lody ustępują i skorupa ziemi się odsłania, słonka ciągnie na północ, gdzie są jej lęgowiska. Z wielu jednak stron Niemiec, Czech i t. d. donoszą o tem, że widziano słonki w rozmaitych porach podczas zimy a wczesną wiosną znajdywano lęgi słoncze. Czy i u nas nie zimują i nie lęgną się czasem słonki?

4) Ciekawe zjawisko obserwował pewien leśniczy w Lotaryngii, Ersfeld. Otóż wracając w towarzystwie pomocnika z porannego ciągu, spostrzegł w odległości 60 kroków stadko słonek, (około 20 sztuk) szybko ciągnące w kierunku poł. wschodnim. Pomyłkę stanowczo wyklucza. Czy u nas kto coś podobnego zauważył?

5) Dr. Ludwik Stabl skonstatował, że słonki wyjątkowo także w dzień ciągną, czy u nas kto zauważył coś podobnego?

6) Z wielu stron donoszono tamtegorocznej wiosny, że spotykano słonkę unoszącą pisklęta ze sobą w razie grożącego niebezpieczeństwa. Matka bierze pisklę nóżkami i tak je z sobą unosi. Czy kto nie zauważył podobnego wypadku u nas?

7) Również częste są doniesienia, że w jesieni obserwowano słonki wabiące tak samo jak na wiosnę, zaś autor podpisany pseudonimem „Quercus“ widział dwie słonki zachowujące się zupełnie jak na toczkach wiosennych, ale wydawały one dźwięki dotychczas mu obce, które on określa: „eang“, „eang“.

8) Ciekawe również są doświadczenia z wabikiem na słonki:

Niejaki Weyke wabił, siedząc na zrębie obok wysokopiennego lasu. Wkrótce nadciągnęła słonka, ale na zrębie tak się zniżyła, że strzelać do niej nie mógł. Chcąc ją zmusić do wzniesienia się, zaczął wywijać strzelbą i mówić głośno, co jednak nie przeszkodziło słonce zapaść o kilka kroków od niego, dopiero kiedy ku niej postąpił, porwała się, by w sekundę później spaść martwą.

P. Spring twierdzi, że jeżeli słonki parami ciągną, to nie reagują zupełnie na wabia, pojedyncze zaś prawie niezawodnie na wabienie się zbliżają.

9) Dotychczas przeważa zdanie, że na ciągu wiosennym daleko więcej kogucików pada, aniżeli samiczek; rzecz ma się przeciwnie z buszówką. Zdanie to nie jest jednak oparte na ścisłych obserwacyach. Ażeby sobie w tym kierunku wyrobić sąd pewny należałoby, by n. p. wszyscy myśliwi czytający „*Łowca*“ zechcieli podać ilość i rodzaj zabitych słonek i następne dane: czy pojedynczo ciągnęły, a jeśli gromadnie, które z rzędu były koguciki, a które samiczki, a nadto, czy głośno albo też milcząc ciągnęły. Tylko tą drogą możnaby sobie wyrobić przybliżone pojęcie o szkodzie, wyrządzonej polowaniami na ciągu. Buszówki wiosennej należałoby prawdopodobnie zaniechać.

Niewątpliwie główną przyczyną zmniejszenia się ilości słonek są rzezie masowe w Grecyi i Włoszech na wiosnę i w jesieni, ale ileż to ich padnie w innych krajach na ciągu wiosennym a między temi ile zapłodnionych samiczek?

Gdybyśmy mogli na podstawie powyższych danych oznaczyć, że procent, na ciągu zabitych samiczek jest nieznaczny, o ileż czystszą i jeszcze wznioślejszą byłaby poezya wieczorów spędzonych na ciągu!

10) Jeden stateczny myśliwy opowiadał mi, że widział na drzewie ptaka podobnego do słonki ale wydającego zupełnie inny głos. Strzelił do niego lecz niestety chybił (70 kroków). Gdy ptak wzleciał, wzmogło się w strzelającym przekonanie, że to słonka. Czy widział kto z czytelników słonkę na drzewie siedzącą?

Może niejednego z czytelników zajmie następująca wskazówka dla myśliwych na ciągu. Dr. Wurm pisze co następuje: Już wiele lat temu widziałem, że steigerwaldzcy myśliwi, idąc na ciąg słonek, zbierali do kieszeni kamyki na gościńcu. Gdy wyraziłem me żdziwienie, taką otrzymałem odpowiedź: „W naszych bukowych gęstwinach nie może się pies ani wzrokiem ani też uchem oryentować, gdzie ma strzelonej słonki szukać; to też rzutem kamienia wskazujemy mu miejsce, gdzie ma szukać. A ponieważ w lesie kamieni nie ma, więc je na gościńcu zbieramy“. W samej rzeczy sam raz musiałem sobie pomóc w ten sposób, kiedy mój pies po długiem szukaniu wrócił ze słonką a ja tymczasem drugą zabiłem.

Sądzę, że poruszyłem kwestyę na czasie, gdyż każdy myśliwy ma teraz zdarzenia na ciągu w świeżej pamięci. *R.*



Korespondencye.

Lwów, d. 22. kwietnia 1902.

Kuropatwa w śródmieściu. Dzisiaj wieczorem o 8-ej godzinie szedłem przez ogród miejski i gdy znalazłem się na wysokości „greckiej świątyni“ doszedł mnie najwyraźniej głos wabiącej kuropatwy. Przystanąłem — „kirytt, kirytt“ powtarza się bez ustanku. Posuwam się dalej i widzę naszego kolegę z pod znaku św. Huberta, doskonałego myśliwego p. Ł. jak, (przepraszam za przenośnię), „ściąga“ podobnie jak i ja ku miejscu, skąd głos kuropatwy dochodzi. Kuropatwy nie „wystawiłem“ — ale fakt faktem, że w ogrodzie miejskim, wśród ożywionego ruchu, biła kuropatwa przez czas dłuższy. Przed dwoma laty widziałem na wiosnę koło godziny drugiej popołudniu, kuropatwę, ciągnącą z ogrodu miejskiego ku polu metropolitalnemu, graniczącemu z górną częścią ulicy Mickiewicza. Może na tem dość obszernem polu, mieszczącem i ziemniaczyska i koniczynę i zboże, wywodzą się, a przynajmniej żyją kuropatwy. Fakt dzisiejszy, połączony z zaobserwowanym przed laty dwoma faktem pozwalają na to przypuszczenie.

M.

Brzeżany, 10. kwietnia 1902.

Doświadczywszy na własnych pieskach, jak również na klinice we Wiedniu „*Thierarzenei-Institut*“ działania mikrocidu na chorobę psią, zwaną po polsku nosacizną, a po niemiecku „*Hundestaupe*“ — poślę bezpłatnie dziesięciu pierwszym, którzy się zgłoszą — dostateczną ilość mikrocidu do wyleczenia jednego psa chorego, pod warunkiem, że rezultat ogłoszą w „*Łowcu*“.

Józef Krzysztofowicz.

Wierzchosławice, 17. kwietnia 1902.

W lasach tutejszych, hrabstwa tarnowskiego w Wierzchosławicach — pierwsze słonki pojawiły się 25 i 26 marca — leśniczy tamtejszy jedną ubił.

Wskutek śniegu w następnych dniach ciągu prawie nie było żadnego, dopiero w początkach kwietnia, gdzie znów ubito dwie sztuki.

W ogóle w tym roku ciąg słonek był jak na tutejszą okolicę dość dobry.

Wskutek ostatnich mrozów w marcu, wyginął zupełnie pierwszy pomiot zajęczy.

Sławiński.

Cieszacinek, 22. kwietnia 1902.

Nie zabierałbym głosu w sprawie: „Świętemu Hubertowi,“ bo głowa przepełniona kłopotami, pilnemi

robotami w polu, rozmyślaniem nad wychodźcami do Prus na robotę, gdy w kraju brak rąk do pracy, ale trudno wytrzymać! Artykuł p. Łysakowskiego powinienby już dyskusyę nad tem „pozdrowieniem" zamknąć, bo tak, czy owak, gwałtem chcemy się zapożyczać od nacyi germańskiej. Sławne były łowy w Polsce, choć nie znano żądnych „*Weidmannsheilów* — i dziś polowania nie najgorzej wypadają po naszem zwykłem powitaniu się, jak komu dogodniej, dlatego sądzę, że najlepiej nie stwarzać nic nowego, bo pozdrowienie: „św. Hubertowi" brzmi jakąś bardzo fałszywą nutą, daje wiele do myślenia a na mnie robi wrażenie, że chyba już żywy nie wrócę z polowania. Wszak rycerstwo polskie pozdrawiało się zawsze krótko: „czołem" i było dobrze, a nie przyszło nikomu na myśl, by od niemiaszków zapożyczać wyrazu dla wzajemnego pozdrowienia, które zawsze z serca płynąć powinno. Ci zaś panowie, którzy używają wyrazu „*Weidmannsheil*" zapomnieli chyba dawno, że są Polakami, tych i „św. Hubertowi" nie odmieni.

St. Zalasiński.

Jajkowce, 23. kwietnia 1902.

Jako przyczynek do znajomości obyczajów i charakteru zwyczajnej naszej sowy puszczyka (*Strix aluco, Baumkauz*), ptaka pospolitego i w wysokim stopniu pożytecznego, podaję fakt następujący:

W oddaleniu kilkunastu kroków od domu mieszkalnego znajduje się u mnie gruba topola nadwiślańska, w której od ludzkiej pamięci gnieździ się para sów. Sam od czterech wiosen obserwuję tę szanowną rodzinę i z przyjemnością dla obydwu stron stwierdzić mogę, że dotychczas obopólny stosunek należał do najkordyalniejszych. Sowy gnieździły się, wywodziły młode — ja się przypatrywałem i byliśmy ze siebie wzajemnie kontenci. Przyjaźń dochodziła do tego stopnia, że nieraz, gdy późną godziną w łóżku oddawałem się lekturze a okno letnią porą bywało otwarte, cała sowia rodzina siadywała na otwartej ramie okna i ciekawie mi się przypatrywała, robiąc tak pocieszne miny i uwagi w sowim języku, iż miało się wrażenie, że się jest na jakiemś mimicznem przedstawieniu. Nagle piękny ten stosunek zamąconym został bez mojej winy.

Dnia 21 b. m. wieczorem przechodził chłopak stajenny obok wzmiankowanej topoli. Jedna ze starych sów siedziała właśnie z dwojgiem młodych przed progiem swojej chaty, używając wieczornej ciszy na świeżem powietrzu. Chłopak przystanął przypatrując się sowom. W tej chwili stara sowa spadła mu na głowę, porwała czapkę i uniosła ją na drzewo, czapka spadła, chłopak podniósł ją, nałożył i począł się oddalać, gdy sowa przypuściła ponowny atak uwieńczony tem, że czapka chłopcu powtórnie zleciała z głowy. Chłopak przestraszony przybiegł do mnie, wytłumaczyłem mu, że to jest bardzo sędziwa sowa, że wiek ma swoje prawa i że przechodząc obok tak szanownej staruszki należy czapkę zdejmować. Że sowie chodziło o co innego, dowiódł zaraz następny poranek. Leżałem jeszcze w łóżku, gdy wszedł do mnie drugi chłopak kredensowy z porządnie okrwawioną głową. Byłem pewny, że to skutek różnic politycznych z którym z kolegów, pokazało się jednak, że nie któryś kolega, ale waleczna sowa tak go urządziła. Wczesnym rankiem przechodził obok fatalnej topoli, a że nie miał czapki, wyszedł gorzej na spotkaniu z sową niż jego wczorajszy kolega. Sowa zaalarmowana widocznie o dzieci, spadła mu jak strzała na czupryne i pokiereszowała mu skalp nie gorzej, jakby to potrafił któryś z burszów niemieckich. Odtąd sowa została niezaprzeczoną panią placu, bo wszyscy omijają w dalekim promieniu fatalne miejsce. A sowia rodzina rozsiadła się na gałęziach starej swojej sadyby, spoglądając z góry na poziome twory, pełzające po ziemi.

Wobec tego niezwykłego bohaterstwa sowy w obronie rodziny i wobec jej pożyteczności nie interweniuję w tym konflikcie z bronią w ręku i mam niepłonną nadzieję, że gdy sowięta podrosną, powróci między nami dawny, serdeczny stosunek.

Aleksander Przedrzymirski.

Z Jaworowskiego, 10. kwietnia 1902.

Często słyszałem, o myśliwstwie przy kominku gwarząc, że różne nieprawdopodobne zdarzenia opowiadano. Słuchacze mówili: „Cóż to za blagier! kłamie jak najęty," łagodniejsi twierdzili, że ubarwia, przesadza i t. d. Zdarzają się jednak niezwykłe wypadki, które do blagi podobne być mogą, są trudne do uwierzenia, a przecież, jak w dwóch następnych wypadkach, rzeczywistą i sprawiedliwą są prawdą.

Nie rozwodzę się dalej w argumentach, które szanownych czytelników przekonaćby mogły; cytuję tylko fakta dla rozweselenia współbraci nemrodów.

Przeszłego roku, w jesieni, polował na tutejszym stawie dobrze znajomy mi myśliwy. Po krótkim czasie zabił sześć kaczek. Kaczki ubite rzucał na przód łódki, a po skończonem polowaniu przybił do grobli, gdzie konie na niego czekały i ze zdobyczą powrócił do domu. Sześć ubitych kaczek odebrał kucharz i złożył w lodowni.

„Co damy dziś na obiad?" pyta po kilku dniach gospodyni domu kucharza. „Na pieczyste mogą być kaczki dzikie z kapustą, skruszały zapewne już dostatecznie". brzmiała odpowiedź. Stanęło więc na tem. Chcąc wypełnić rozkaz pani domu, udaje się kucharz do lodowni: lecz jakież było jego zdziwienie, gdy nagle nad głową spostrzega paradnego kaczora, który przez otwarte drzwi, z całą swobodą wylatuje i na przyległym stawku zapada. Strzelec będący w pobliżu pobiegł po strzelbę, lecz kaczor, czując zbliżające się niebezpieczeństwo, po krótkim namyśle poderwał się i zginął w przestrzeni.

Czem ów kaczor żywił się przez owych kilka dni więzienia, jaki Eskulap go wyleczył, tego się nigdy nie dowiedziano.

Dnia 5. kwietnia 1902, z dwoma moimi towarzyszami myśliwstwa wybrałem się na słonki. Dzień był cichy, spokojny, tak, że aura dobry ciąg nam zapowiadała. Rozstawiliśmy się na miejscach mniej więcej poprzednio przez gajowych wybadanych i oczekujemy pierwszego, tak miłego i ponętnego dla każdego myśliwego chrapania. Po krótkiej chwili oczekiwania widzę słonkę lecącą w moim kierunku: celuję, strzelam i słonka pada na linię, na 30 kroków odemnie. Znakomity mój

wyżeł przyniósł mi ją, a że jeszcze dawała znaki życia, biorę słonkę w rękę i dwa razy dość silnie łbem o kolbę uderzam. Postanowiłem sobie dwanaście sztuk ubić tej wiosny: „Dziewiątą już mam,“ pomyślałem sobie; „jeszcze trzy a dosięgnę przeznaczonej cyfry“. Z zabitej słonki wyrywam dwa piórka ze skrzydełek, zakładam je za wstążkę od kapelusza, a nieboszczkę rzucam na ziemię obok krzesełka. Siadam i wysłuchuję dalszego ciągu. Widziałem jeszcze słonek kilka, niestety jednak nie przyszły na strzał i tak kilkanaście minut jeszcze upłynęło. Nagle słyszę za sobą maleńki szmer w trawie. Oglądam się, patrzę, a tu moja słonka, którą za nieboszczkę już miałem, stoi zupełnie prawidłowo na nóżkach, skrzydła ma złożone i gotowe do lotu; łepek jeszcze figlarnie wykręciła i jednem oczkiem na mnie spogląda. Myślę sobie: „źle; ona gotowa czmychnąć!“ więc ostrożnie, bojąc się ręką ją chwytać, zdejmuję kapelusz z głowy, próbując ją nakryć. Zaledwie się jednak do niej zbliżyłem, słonka burknęła i zginęła w krzakach; strzeliłem wprawdzie za nią, lecz bezskutecznie. Pociesza mnie jednak ta okoliczność, że jeżeli słonka ta po owej przeprawie przy życiu została, napotkam ją jeszcze, lub jedną z jej potomstwa i pomszczę się za żarty z doświadczonym myśliwym, który na tego rodzaju igraszki na drugi raz nie pozwoli. *Ł.*

Wyszków 20. kwietnia 1902.

Atak na niedźwiedzicę z gołemi rękami.

Jak wiadomo Towarzyszom w św. Hubercie, w miesiącach marcu i kwietniu zrzucają jelenie, królowie naszej zwierzyny karpackiej, wieńce, za wyszukaniem których tutejsza straż lasowa ochoczo się uwija.

Dnia 12 b. m. podpisany, zebrawszy ośmiu ludzi, silnych chłopów, którzy na wyszukiwaniu rogów się rozumieją, a miejsca pobytu rodu jeleniego doskonale znają — przy pogodnem nadzwyczaj dniu, o 8 rano wyruszył na poszukiwanie rogów jelenich. Czy zbiór rogów się udał, czy nie, to pomijam, by mego opisu nie rozwlekać a tem samem nie nudzić szanownych czytelników. Pierwszą noc spędziliśmy w owczarskiej kolebie, przy silnym i ślicznym ogniu, i chociaż było zimno, zeszła ona nam przyjemnie — był bowiem ze mną kolega leśniczy, a chłopi opowiadaniem anegdot skrócili nam czas.

13 b. m. już o 6 rano po napiciu się gorącej herbaty, notabene z węglami trochę pomieszanej, gdyż w otwartym garnku przy ogniu woda gotować się musiała — wyruszyliśmy z obozu celem dalszego poszukiwania rogów. Rozszedłszy się jeden od drugiego na jakich 200 m. postępujemy naprzód poświstując od czasu do czasu, by się nie pogubić.

Około godziny 8 rano przechodzę ogromną kłodę leżącą na poprzek innych kłód na jakich 2 m. od ziemi — w tem poślizguje mi się noga, laska pęka, a ja padam na ziemię. Z ogromnem przerażeniem widzę przed sobą wielki otwór pod kłodami drzew i pniaków i nieznośny fetor uderza mój zmysł powonienia — zdaję sobie sprawę, że to gawra zimowa niedźwiedzia. Przyszedłszy zaraz do przytomności, widzę jednak, że niedźwiedź już gawrę opuścił — przeto zaglądam do niej, było można poznać tylko tyle po odchodach niedźwiedzia, że niedawno tu być musiał, że całe łoże było wysłane grubą warstwą mchu liści i t. d. Odszedłszy z tego miejsca na jakich 2—3 kilometry, wyszedłem na połoninę, na której było już trzech naszych ludzi i mój kolega — usiedliśmy odpocząć, naraz na lewo od nas, pod górą zwaną „Gorgan Wyszkowski“ słyszymy przeraźliwy krzyk jednego z towarzyszy: „gwałtu, gwałtu!“ Spieszymy wszyscy w to miejsce, lecz trudno było prędko się tam dostać wskutek wyniosłości góry i wielkich przeszkód pod nogami. Docieramy nareszcie do tego miejsca i widzę chłopa prawie nieżywego ze strachu — pytam się go, co zaszło — trudno z niego słowa wydobyć, blady jak trup, dopiero pokropiony winem zaczyna opowiadać: „Panie, niedźwiedzica chciała mnie zjeść, jest tu trochę wyżej z dwoma małymi niedźwiedziami“. Pytam: „gdzie?“ — „Proszę słuchać, świszcze“ — i rzeczywiście słyszę głos. Chłop opowiada dalej: „Schyliłem się pod kłodę, by przejść dalej, w tym przed oczami na 3 kroki zobaczyłem małego niedźwiadka — przestraszony podnoszę się i widzę o jakich sześć kroków starą, ogromną niedźwiedzicę, wzniesioną na zadnich łapach prosto ku mnie się zbliżającą — ja na dół, a ona za mną“. Człowiek ten zawdzięcza swoim dobrym skokom, że jej objęć serdecznych uszedł.

Gdyśmy się już wszyscy razem zeszli, a wszyscy bez broni, albowiem przy wyszukiwaniu rogów niemożebnem brać broń palną, gdyż łatwo padając można ją uszkodzić — mówię do nich: „Chodźmy do tej niedźwiedzicy“. Brakowało nam wprawdzie jeszcze jednego chłopa do kompletu, a to najważniejszego, gdyż ten miał ze sobą siekierę do przysposobiania opału podczas noclegu. Za chwilę nadchodzi on zdyszany, gdyż jak się pokazało także uciekał przed innym znowu niedźwiedziem — wzywam ich teraz ponownie, aby poszli do niedźwiedzicy. Żaden nie chce się dać namówić. Przedstawiam więc chłopom wraz z moim kolegą, że przecież mamy siekierę i jest nas dosyć, że ja pójdę pierwszy do niej, a oni wszyscy zaraz za mną — a gdy niedźwiedzica na mnie się rzuci, że mają wszyscy rzucić się na nią — siekierą w łeb, i musimy ją na ziemię powalić, a w razie, gdy będzie już powaloną, pewnie ją pozbawimy życia. Zaledwie dali się namówić i ruszyliśmy ku miejscu, gdzie jej rozłoszczony głos już słyszymy. Było to o jakie 200 kroków od miejsca, w którem znajdowaliśmy się. Ja zawzięty w takich sprawach, ruszam naprzód — zbliżywszy się na jakie 50 kroków do niej widzę ją ogromnie złą, obchodzącą w koło osobno stojącą ogałęzioną od dołu jodłę. Zoczywszy nas, rzuca się wprost ku nam i wznosi na dwóch nogach. „Chłopcy, baczność i odwaga, a nic nam nie będzie“. — Stanęliśmy razem. Niedźwiedzica nie uchodziła dalej z młodymi, gdyż jak przekonaliśmy się potem, młode wylazły na jodłę i siedziały między gałęziami spokojnie. Zbliżyła się ona ku nam na dwadzieścia kroków — wtedy krzyknęliśmy naraz wszyscy co sił „hura! hura!“, widać, że brakło odwagi niedźwiedzicy do atakowania nas, bo przypatrzywszy się nam chwilę, zrobiła zwrot i poszła w górę. Dopiero teraz, gdy ona odeszła, spostrzegliśmy siedzące na jodle niedźwiadki. Pod jodłą kazałem zaraz rozpalić ogromny ogień. Sami dawaliśmy baczenie, czy niedźwiedzica skąd nie nadejdzie, gdyż w gąszczach świerkowych, w bliskości nas się znajdujących bezustannie było słychać jej porykiwanie — po chwili pokazała się nam znowu bardzo blisko, ale na krzyk chłopów

odeszła. „Teraz, mówię, chłopcy, nie ma czasu, musimy zabrać młode niedźwiadki żywe do domu“ — (do 30 kilometrów), wyleź Maksymie na jodłę, i poznoś je na ziemię. Maksym zuch lezie na jodłę, chce brać jednego, a ten go tnie zębami i kaleczy rękę i w tej chwili skacze na ziemię z czterometrowej wysokości i zamyśla uciekać, ale sprytny Archim daje mu pałką po głowie, niedźwiadek się przewraca — ledwie przyprowadziliśmy go do życia z pomocą okładów ze śniegu. Mała zaś niedźwiedzica dała się łatwo wziąść za kark na sznurek — czepiwszy się łapami Maksymowych „hołoszni“ zeszła z nim w ten sposób na ziemię. Niedźwiedzicę małą wziął mój kolega na ręce a chorego niedźwiadka Maksym i poczęliśmy na dół szybkim krokiem uchodzić — ona na rękach siedziała spokojnie, on słaby, pobity po głowie nie żałował gardła i darł się okropnie — po przebyciu pół kilometra drogi słyszymy za sobą trzask gałęzi, a oglądnąwszy się, widzimy starą niedźwiedzicę tuż niedaleko — gwałt, krzyki „hura“ odstraszają znowu niedźwiedzicę. Kilka razy się to jeszcze powtarzało, gdyśmy jednak wyszli już na pola, uwolniliśmy się od niedźwiedzicy i przy pierwszej chałupie bojka odpoczęli. Daliśmy trochę świeżego mleka krowiego niedźwiadkom — ona jadła a jego słabego nakarmiliśmy. Mała tak się rozłościła przy odpoczynku, że wszystkich kąsać chciała i na rękach nieść się więcej nie dała, tylko szła obok Maksyma aż do domu do 20 kilm., przywiązana za szyję na sznurku. Przy dalszych odpoczynkach nie można sobie było z nią dać rady taka była zła — więc wyłaziła na małego świerka i tem dopiero ukrywszy się, między gałęziami spokojnie siedziała, sądząc zapewne, że już siebie pewna. Mam więc obecnie już zdrowe dwa małe niedźwiadki, blisko trzechmiesięczne, które dobrze się chowają, jedzą chleb, kartofle i piją mleko a przytem dosyć się już obłaskawiły, niedźwiadek więcej niż niedźwiedzica — która jest koloru siwego z białym paskiem na około szyi, podczas gdy on całkiem czarny. Ktoby więc z Szanownych czytelników życzył sobie zobaczyć niedźwiadka, a nawet nabyć, raczy się do mnie pofatygować.

Zarazem proszę Szanownych czytelników, którzy mieli sposobność obserwowania zwyczajów niedźwiedzich, aby raczyli mnie poinformować, czy jest to prawdą, czy nie, że niedźwiedzica wypędzona z gawry od młodych nigdy do nich nie wraca. Wydaje mi się to nieprawdą, jednak fakt taki autentyczny znam. Będąc tego roku na polowaniu w Węgrzech, byłem świadkiem, jak moje psy wypędziły niedźwiedzicę z gawry, gdzie pozostawiła ona troje małych 8—10 dni liczących niedźwiadków. Niedźwiedzica ta nie wróciła już do gawry albowiem jeden z myśliwych, pragnąc zobaczyć gawrę, poszedł do niej w cztery dni i zastał tam wszystkie niedźwiadki już nieżywe. Czy niedźwiedzica nie wróciła, dla tego, że wrzekomo z zasady do gawry nie wraca, czy też przeszkodziła jej w tem może jakaś kula, z którą się niespodzianie spotkała, tego nie wiem.

Szczepański.



†

Józef Skarbek Borowski,

długoletni i gorliwy członek naszego Towarzystwa, zmarł w Wiedniu dnia 18 kwietnia 1902.

Syn śp. Macieja, oficera byłych wojsk polskich z r. 1831, wychowany wśród jego towarzyszy broni, był żywem ogniwem między dzisiejszem pokoleniem, a ową epoką, do której myśl nasza z taką chęcią wraca.

Dom śp. Józefa w Hurku był prawdziwem muzeum, pełnem pamiątek, zbieranych z zapałem, o których umiał pięknie mówić z przywiązania do nich i jako znawca ich wartości.

Z Juliuszem Kossakiem, niezrównanym ilustratorem tej epoki i tego kierunku, który śp. Józef ukochał, żył w przyjaźni i szczycił się tem, że posiada około 90 jego oryginalnych szkiców i akwarel. Napisał też o nim rozprawkę, pełną pietyzmu dla zmarłego, której to pracy historyk życia Kossaka pominąć nie może.

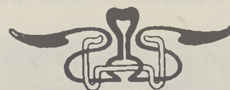
Żywo czuł wszystko, co kraj obchodziło; stąd w ostatnich szczególniej czasach, gdy zdawało mu się, niestety mylnie, że zagrożone zdrowie odzyskał, gorętszy udział w życiu publicznem.

Od lat najmłodszych zrosły z koniem należał do wybitnych znawców chowu koni — teoryę łączył z praktyką — był bowiem, dopóki zdrowie służyło, zawołanym jeźdcem i myśliwym w tych rodzajach łowów, gdzie dzielne użycie konia połączone z powabami i niebezpieczeństwami tej męskiej rozrywki jest jednym z warunków dobrego wyniku.

Schodzi z tego pola, zdążając do mety życia prawie równocześnie ze śp. Kazimierzem Tuczyńskim, z którym łączyło go wiele upodobań ż dziedziny sportu, wiele wspomnień z lat młodszych, nie wolnych czasem od współzawodnictwa, zawsze z obu stron lojalnego.

Cześć pamięci dobrego obywatela!

St. M.



Od Redakcyi.

W jednem z pism politycznych pojawiła się w chwili, kiedy numer ostatni *„Łowca“* był już pod prasą, korespondencya członka naszego Towarzystwa, p. Leona Gustawa Dziubińskiego, w której zamieścił bardzo ostrą krytykę działalności Wydziału, a szczególniej Redakcyi *„Łowca“*.

Zdawało nam się, że może krytyka taka byłaby więcej na miejscu na walnem Zgromadzeniu Towarzystwa, zatem przed tem forum, które jest powołane w pierwszym rzędzie do wydania wyroku w podobnej sprawie, gdy jednak p. Dziubiński uznał inne forum za właściwsze, umieszczamy w *„Łowcu“* dosłownie jego artykuł, aby w ten sposób umożliwić wszystkim członkom Towarzystwa zapoznanie się z zarzutami, przeciw nam podniesionymi.

Artykuł ten opiewa jak następuje:

Ciekawe to zaiste zjawisko, że w naszym kraju, gdzie pozostawiona jest zupełnie swobodna działalność Towarzystwom w zakresie ich statutów, niektóre Towarzystwa nie tylko wcale się nie rozwijają, ale zaledwie od czasu do czasu słabe dają znaki życia, jakkolwiek mają wdzięczne pole do działania, żywotną reprezentują dziedzinę gospodarstwa krajowego i powinne z natury rzeczy przeniknąć wszystkie prawie sfery naszego społeczeństwa.

Do takich towarzystw należy zaliczyć niestety Galicyjskie Towarzystwo łowieckie a to szczególnie na podstawie jego organu, dwutygodnika „*Łowca*". Prawda, że przed laty kilku gorzej było jeszcze w łonie samego Towarzystwa, ale przynajmniej „*Łowiec*" redagowany dzielnie, z fachową znajomością przedmiotu, umieszczając cenne monografie, doskonałe artykuły, zaliczany był bezsprzecznie do najlepiej redagowanych pism polskich i on wówczas ratował sytuacyę, choć Towarzystwo łowieckie latami nie zbierało się na walne zgromadzenia, choć miało kilkaset niepłacących członków, choć władze na opinie fachowe, po które się do Towarzystwa udawały, czekać musiały miesiącami. Obecnie liczba członków wzrosła do tysiąca z górą, przeważna ich część wkładki płaci, działalność jednak Towarzystwa zeszła do zera i ono nietylko nie odpowiada wcale określeniom statutowym, ale lekceważy poprostu swoje stanowisko w dziedzinie łowiectwa, które rzec można z tradycyi leży we krwi przeważnej a najinteligentniejszej części mieszkańców kraju. Co więcej, działalność krajowego Towarzystwa łowieckiego w organie jego „Łowcu" jest wprost z interesami narodu sprzeczną, zwłaszcza w dzisiejszej sytuacyi politycznej, co poniżej wykażę.

Więc też ogarnia apatya członków Towarzystwa, iż wcale nie troszczą się o jego losy, apatya spowodowana istną sennością przewodników wydziału, który miesiącami nie bywa zwoływany na posiedzenia i nie sili się wcale na poruszanie jakichś nowych myśli, projektów itp. a zamiast zachęcać członków do czynu zraża ich własną bezczynnością. Rozpacz ogarnia każdego bezstronnego czytelnika myśliwego na widok, do czego doszedł organ Towarzystwa „Łowiec" co, rzec można, podobny jest od dłuższego czasu do ciężko chorego, na którego czole błyszczy już gwiazda śmierci. I tu znowu winną jest redakcya, gdyż nie tylko nie potrafi zachęcić do pisania wytrawnych a umiejących pisać myśliwych, ale z gorliwością godną lepszej sprawy stara się do redakcyi nikogo z po za „swoich" nie dopuścić.

A przecież „Łowiec" za redakcyi Józefa Łozińskiego i Juliusza Starkla należał do pierwszorzędnych pism w swoim rodzaju. Publikował artykuły takich pisarzy jak hr. Wodzicki, Bartels, Dzieduszycki, Starkel, Komorowski, Ubysz, Spausta i wielu, wielu innych.

Z dawnych roczników „Łowca" każda poezya i wszelka proza mogła była być ozdobą każdego literackiego organu. A dzisiaj? jakże ubogą jest treść każdego numeru? W roku zeszłym „Łowiec" obfitym był przynajmniej w korespondencye, od czasu do czasu zawierał jakieś sprawozdanie z gospodarstwa łowieckiego pożyteczne i pouczające, ale już zamieszczał zbyt często i tłómaczenia a zwłaszcza przedruki, niekiedy nawet z książek, jak n. p. wiersz Franciszka Konarskiego p. t.: „Polowanie na dziki", drukowany przed kilkunastu laty w „Gazecie Narodowej" a umieszczony przed kilku laty w zbiorku p. t. „Śmiech i Łzy". Prócz tego zamieszczała redakcya, chyba dla zapełnienia miejsca, zupełnie dla ogółu myśliwych obojętne ryciny z polowań, na których (rycinach) nikogo nawet poznać nie można było, to też na ostatniem walnem zgromadzeniu ozwały się już, choć nader delikatne głosy krytyki, do których redakcya przyrzekła się zastosować, lecz przyrzeczenia nie dotrzymała. „Łowiec" od numeru do numeru stawał się coraz bardziej jałowym i pustym, drukując po prostu tłómaczenia (z Brehma) jak ptaki drapieżne, lub nie wytrzymujące krytyki pod żadnym względem a szczególnie pod względem fachowym artykuły o ochronie zwierzyny, w których, w kilkunastu wierszach, nader powierzchownie przedstawione były rzeczy, wymagające mozolnych, sumiennych studyów, już przez inne znakomite pióra w samym „Łowcu" przed laty obrobione i drukowane.

Nareszcie zeszła redakcya w dziedzinę rusznikarstwa. Jak z rogu obfitości posypały się artykuły o balistyce, kulach, ładunkach, lufach, dziwirze i t. p.

Gdybyż te artykuły oparte były choć na przemyśle krajowym, naszym, rodzinnym, w takim razie byłyby do przebaczenia, ale one czerpały treść ze stron obcych, nienawistnych, wrogich, dla nich słońce wschodziło i zachodziło w... Niemczech. Opiewały wynalazki prusaków, proch pruski, kule pruskie, broń pruską! Oto tematy, o których „Łowiec" w ostatnich numerach zeszłorocznych i tegorocznych rozwodził się kolumnami.

W tem właśnie upatruję szkodliwą działalność pisma, któremu, jako organowi krajowego towarzystwa, nie wolno uprawiać germanizmu w dziedzinie polskiego łowiectwa, nie wolno uporczywie stawiać przed oczy polskich myśliwych przemysłu wrogiego narodu, męczącego dzieci polskie, za polskie serca i mowę. Działalność to tem szkodliwsza, ile że i my przecież pod względem wyrobów rusznikarskich na ostatnim planie nie stoimy. Gdyby sz. nowni autorowie wspomnianych artykułów, zresztą doskonali znawcy przedmiotu, zechcieli oglądnąć warsztat Dzikowskiego, gdyby z kierownikiem tegoż Tabaczkowskim kilka chwil pomówili, toby się przekonali, jaka wspaniała broń wyrabia się dziś i u nas i jakiego doznaje poparcia ze strony znakomitych naszych myśliwych, przekonaliby się, że znawcy i w naszym przemyśle wiele jest do zaczerpnięcia tematów. Mogę to sumiennie twierdzić, gdyż, mieszkając na strzelnicy, codziennie widzę prześliczne sztućce, strzelby, pistolety i inną broń, której wykończanie i przydatność mam sposobność oglądać i podziwiać.

Wysoko stoją inne narody pod względem techniki rusznikarskiej, ale Niemcy doprowadzili sprawę do absurdum, jeżeli zalecają naprzykład inne kule na rogacza, inne na jelenia, inne na grubego dzika (kawalera), inne na odyńca (żonatego), inne na pannę lochę, inne na panią lochę, inne na małego warchlaka, inne na podlotków (wedle wagi), jak to w którymś numerze „Łowca" wyczytałem. Przyznaję, że radbym widzieć ładunki z takiemi kulami w praktyce, na polowaniu i zazdrościłbym myśliwemu szybkości oryentowania się w ich użyciu.

Już od dłuższego czasu miałem zamiar wyrazić moją opinię o „*Łowcu*", lecz przyspieszył to ostatni numer, który jest już tak pusty, że nawet o treści w ścisłem znaczeniu tego słowa mowy być nie może. Na 16 kolumn druku, licząc i okładkę, zawiera ten numer 6 kolumn inseratów, $1^{1}/_{2}$ kolumny sprawozdania bezkrytycznego o zmianie ustawy łowieckiej, wiersz o jaskółce, 1 kolumnę banalnej ryciny, kolumnę o koziorożcu, dwie korespondencye, wykaz ubitej zwierzyny, 2 artykuły kroniki, trzy kolumny spisu członków Towarzystwa w dużym druku. Szczęście, że ten numer wyszedł na *prima aprilis*.

Tyle co do treści „*Łowca*" w ostatnich czasach a co do formy?! Jako były współpracownik „*Łowca*" za czasów Łozińskiego i Starkla, wiem dobrze, ile to trudu i pracy kosztowało przygotowanie do druku nadsyłanych przez członków i delegatów korespondencyi, które, rzecz naturalna, w szacie literackiej do redakcyi nie napływają. Obecnie małemu muszą ulegać przeobrażeniu, skoro mnóstwo w nich błędów stylowych i językowych, w wierszach brak rytmu i rymu, wreszcie zupełnie zaniedbana korekta, słowem z każdego numeru widny pośpiech i z każdego numeru jaśnieje jedna myśl, aby tylko wyszedł. Nie tu miejsce do wyliczania wszystkich braków „*Łowca*" to, co wyżej przytoczyłem, wystarczy do zrozumienia, że konieczną jest tak w Towarzystwie łowieckim, jak i w redakcyi „*Łowca*" jak najrychlejsza sanacya. Jestem też przekonany, że szanowny wydział Towarzystwa, którego wielu członków znam jako znakomitych, wytrawnych myśliwych i dzielnych, energicznych ludzi, nie weźmie mi za złe, iż to, co napisałem, napisałem bez osłonek — szczerze i otwarcie. Wszak mnie, jako członkowi Towarzystwa, również zależy na jego opinii i stanowisku. I mnie też również boli fakt, że na walne zgromadzenie przychodzi kilkunastu członków, a na zjazd łowiecki jawi się kilkunastu myśliwych. Gdyby w Towarzystwie poruszano od czasu do czasu tak ważne sprawy, jak sprawa obracania funduszu z kart myśliwskich na cele kultury łowieckiej, jak przestrzeganie ustawy łowieckiej przez władze, jak inspektorat łowiecki, jak ochrona zwierzyny w niedzierżawionych terenach, jak wydawnictwo rozumnego podręcznika

dla myśliwych i t. p., gdyby redakcya „*Łowca*“ odnosiła się kiedy niekiedy do znanych łowieckich pisarzy o jakąś monografię, wiersz i t. p., gdyby stawiała jakieś poważne, myśliwskie zagadnienia, wówczas z pewnością ożywiłoby się Towarzystwo i jego organ „*Łowiec*“ nie przedstawiałby się tak, jak się obecnie przedstawia.

Leon Gustaw Dziubiński.

P. Dziubiński widzi „gwiazdę śmierci“ na czole Towarzystwa i wini o doprowadzenie go do tego stanu Wydział Towarzystwa, a przedewszystkiem zaś Redakcyę „*Łowca*“. Członkowie Towarzystwa według jego zdania są apatyczni, Wydział senny, a Redakcya nieudolna, a co gorsza działalność jej wprost z interesami narodu sprzeczna.

Ponieważ artykuł podaje w kilku ustępach rzeczy niezgodne z prawdą, a oprócz tego mieści insynuacye, które odeprzeć należy, pozwalamy sobie trudzić szanownych naszych czytelników tą sprawą.

Na przyszłość Towarzystwa i losów łowiectwa w kraju nie możemy się tak tragicznie zapatrywać. Jeżeli bowiem w latach ostatnich stan zwierzyny w kraju podniósł się znacznie, pomimo braku należytej opieki ze strony powołanych do tego organów, i podniesienie to zawdzięczyć należy gorliwej i umiejętnej pracy coraz liczniejszego grona myśliwych, należących do Towarzystwa, jeżeli Wydział potrafił przeprowadzić w krótkim stosunkowo czasie reorganizacyę Towarzystwa, rzeczywiście chylącego się do upadku przed laty czterema, tak że ono przestało być instytucyą, która istnieć mogła tylko z pomocą hojności swojego prezydyum i niektórych członków Wydziału, jeżeli obecnie Towarzystwo po spłaceniu wysokich zaległości, żadnych długów nie posiada, mogło zmienić wydawnictwo „Łowca“ z miesięcznika na dwutygodnik, urządzić pięć zjazdów łowieckich i strzelań premiowych, a oprócz tego załatwiło pomyślnie wiele pomniejszych spraw, to zdaniem naszem nie można mówić o zamieraniu Towarzystwa, chyba, że komu zależy więcej na tem, żeby w ogóle krytyka była, niż żeby ta krytyka była sprawiedliwą.

Pewien stopień apatyi istnieje w gronie Towarzystwa, ale nie większy, niż w innych, niestety, towarzystwach naszych — a objawia się więcej tem, że tak ciężko skłonić przeważną część naszych członków do zasilania organu Towarzystwa choćby najskromniejszemi notatkami, z których możnaby utworzyć dokładny obraz stanu łowiectwa krajowego.

Tyle co do zarzutów ogólnych. Na zarzuty bezpośrednio Redakcyi uczynione, nie odpowiadalibyśmy wcale, aby nie zabierać głosu w własnej swojej sprawie, ale nie możemy ścierpieć tego, żeby nam podsuwano tendencye, które nie istnieją. Szanowny autor artykułu twierdzi, że „z gorliwością godną lepszej sprawy staramy się do redakcyi nikogo z po za „swoich“ nie dopuścić.“ Nie mamy pojęcia, co szanowny autor ma na myśli. Niepodobna, żeby nie wiedział, że redakcyę sprawuje jeden członek Wydziału, i że czyni to bez żadnej pretensyi do kasy Towarzystwa — nie może być więc mowy o zarezerwowaniu dla „swoich“ jakichś materyalnych korzyści, bo nie ma się kto i czem dzielić.

Ponieważ zresztą tego nie może mieć szanowny autor na myśli, przypuszczamy, że nas posądza o stronnicze usuwanie artykułów przez te osoby pisanych, które u redakcyi nie znajdują łaski. Otóż gotowi jesteśmy wystarać się dla szanownego autora o pierwszą nagrodę za prawdomowność, jeżeli nam wskaże jeden odrzucony bez słusznych powodów artykuł, albo udowodni odsunięcie kogokolwiek od współpracownictwa.

Niezgodnym z prawdą jest zarzut co do umieszczania reprodukcyi fotografii, przedstawiających grupy z polowań, po walnem zgromadzeniu zeszłorocznem, na którem była o tem mowa — zabawnym zaś zarzut, że przez umieszczanie artykułów o postępach niemieckich na polu produkcyi broni i amunicyi, działamy sprzecznie z interesem narodu.

Daruje p. Dziubiński, że mu na ten ostatni zarzut nawet odpowiadać nie będziemy.

Przyznajemy, że zarzuty co do pewnego pośpiechu, widocznego przy wydawaniu „Łowca“ są słuszne — korekta chroma więcej, niżbyśmy sobie tego życzyli — zachodzą i inne błędy, które nam istotną przykrość sprawiają, ale sądzimy, że czytelnicy nasi wolą otrzymywać taki pospiesznie wydany numer, wychodzący co dwa tygodnie regularnie, (o ile na to święta rozmaite, między innemi także święto 1-go maja pozwalają), niż jak dawniej, za redakcyi, do której według swego własnego twierdzenia i p. Dziubiński należał, raz na dwa miesiące.

Redakcya spoczywa w rękach dyletanta, który siłą faktu postawiony na tem stanowisku, uważał sobie za obowiązek w interesie Towarzystwa, podjąć się nawet zadania przechodzącego jego siły, jak się to z kompetentnej opinii p. Dziubińskiego okazuje — ma jednak obecny redaktor ten przymiot, że każdej chwili gotów jest ustąpić swojego miejsca godniejszemu, który da gwarancyę, że dla Towarzystwa z większym pożytkiem działać będzie.

Redakcya.



Kalendarz łowiecki.



W maju do połowy wolno strzelać cietrzewie i głuszce — od połowy rogacze.

Zresztą zwierzyna oddana dziełu mnożenia wymaga od myśliwego starannej opieki — wskutek czego miesiąc ten jest dla prawdziwego myśliwego raczej miesiącem obowiązków, niż miesiącem praw.

Jamy lisie należy rozkopywać i znalezione rozbójnicze plemie bez litości dusić. Gniazda jastrzębie, które każdy myśliwy w swoim rewirze powinien znać, należy odwiedzać co jakiś czas, przyczem zwracamy uwagę, że chcąc się przekonać, czy gniazdo jest zamieszkałe, trzeba silnie kijem uderzyć w drzewo — samica bowiem siedząca na jajach nie tak łatwo z nich wstaje. Ze strzałem za zlatującym jastrzębiem nie trzeba się kwapić, jeżeli tylko nie jest pewny, lepiej czekać na inną, do-

godniejszą sposobność. Przedewszystkiem należy się starać ubić samca — samicę przyjdzie potem łatwiej ubić, gdyż zawsze ona do jaj wracać będzie. Na samca najlepiej czatować w południowych godzinach, bo w tym czasie zastępuje on samicę w wysiadywaniu jaj. Jeżeli się starych nie zabije w czasie wysiadywania jaj, to potem łatwo wytępić młode, gdy już z gniazda się wyniosą. Siedzą one zwykle w pobliżu gniazda, a ich ustawiczny krzyk łatwo wskaże miejsce, gdzie się znajdują. Wtedy można w paru dniach całe gniazdo wystrzelać.

Jeżeli trudno dojść do strzału do starych, można w gnieździe założyć żelaza — jaja się ostrożnie unosi — zakłada się paści starannie i następnie kładzie się jaja, o ile możności w tym samym porządku jak były.

Można także ułatwić sobie strzał do starych w ten sposób, że się młode jastrzębięta, zanim jeszcze wylecą, z gniazda wyjmie i umieści pod drzewem, na którem znajduje się gniazdo — wtedy z dobrego ukrycia można łatwo zastrzelić stare, które zwabione krzykiem młodych, myślą, że wypadły one z gniazda i donoszą im jedzenie na ziemię. Dobrym także sposobem jest zakładanie mocnych siłek na gnieździe, przymocowanych tak, żeby zwieszały się pionowo.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**